DOM I SZKOŁA

ROK II. * * * 1931 R. * * * NR. 14

Holandja wzorem

Gdyby ktoś zapytał, który z krajów europejskich stoi na najwyższym poziomie katolicyzmu, trzebaby mu niewątpliwie odpowiedzieć: Holandja. Kilka liczb niech to udowodni:

Powołania kapłańskie w Holandji są nader liczne. Na 625 katolików przypada jeden kapłan, podczas gdy n. p. u nas na Śląsku na jednego kapłana kilka tysięcy dusz liczyć trzeba.

Liczba Komunji świętych jest bardzo wielka. W diecezji Hertogenbasch, liczącej 400 000 katolików, w roku 1919 przyjęto 14.074.447 Komunji św. Znaczy to, że z tych wiernych, którzy komunikują, na każdego przypada przeciętnie jakie 50 Komunji św. rocznie.

Rekolekcyj zamkniętych odprawiło w Holandji w przeciągu lat piętnastu 247.807 wiernych w 5 339 kursach, przyczem zaznaczyć trzeba, że w ruchu rekolekcyjnym rej wodzą mężczyźni, których liczba znacznie przewyższa liczbę kobiet.

Gdy zaś zapytamy: Czemu Holendrzy zawdzięczają tak niezwykły rozkwit religijny, odpowiedzieć trzeba: Bezwzględnemu posłuszeństwu wobec Papieża. Gdy Papieże polecają odprawiać rekolekcje, Holendrzy biorą w nich udział. Gdy Ojciec św. wydaje hasło częstej Komunji św., Holendrzy nie namyślając się długo, przystępują jaknajczęściej do Stołu Pańskiego. Są oni armją, z którą Namiestnicy Chrystusa zawsze bezwzględnie się mogą liczyć. A ponieważ Papieże, natchnieni Duchem świętym, zawsze pokazują ludzkości drogę, prowadzącą najszybciej ku wyżynom, dlatego naród holenderski, bezwzględnie posłuszny wskazówkom, danym z tronu św. Piotra, doszli do tak niezwykłego poziomu życia religijnego.

Posłuszeństwa tego dowiedli **również w sprawie rychłej Komunji św.** Chociaż nie brakowało głosów zdziwienia w chwili ukazania się dekretu o rychłej Komunji św., ucichły one natychmiast, gdy biskupi przypomnieli wiernym obowiązek posłuszeństwa. **Niema więc w Holandji parafji, w której dzieci przystępowałyby do pierwszej Komunji św. po siódmym roku życia.** A owszem są liczne wypadki, gdy dzieci, lepiej rozwinięte umysłowo, komunikują znacznie rychlej. Tylko te, co są upośledzone na umyśle, komunikują w ósmym roku życia.

Oby rodzice i wychowawcy nasi chcieli się uczyć od Holendrów! Oby nie zabraniali dzieciom malutkim rychłego przystępu do Stołu Pańskiego! Oby zrozumieli, jak smutny jest widok katolików, którzy chcą być mędrszymi od Papieża. Wtedy może i u nas zakwitnie życie religijne podobnie jak w Holandji. Przestaniemy być armją nieposłuszną, staniemy się armją karną.

Józef i Józefinka

Podajemy niniejszem próbę z słynnej książki: Burger „40 lat w służbie bociana",*) napisanej przez położną, która w ciągu długoletniej pracy głęboko zajrzała w serce ludzkie. Opowie nam ona dzisiaj o Józefince, córce naczelnika stacji, która obchodziła ślub swój w tym samym dniu, w którym brat jej Józef po raz pierwszy Mszę św. odprawił:

Moja pupilka Józia zasłużyła sobie w pełni na dzisiejsze szczęście. Brat jej Józef, po skończeniu gimnazjum i odbycie służby jednorocznej chciał koniecznie zostać księdzem, ale krucho było z funduszami. Starszy brat już studjował na uniwersytecie, młodszy był w ósmej klasie, a w domu było jeszcze troje młodszego rodzeństwa. Wydatków było masa, a dochody skromne. Józia, wtedy piętnastoletnia, postanowiła zaradzić temu, umożliwić bratu ukończenie teologji. Zdecydowała się prosić o przyjęcie do biura przędzalni, a uprosiwszy sobie zgodę rodziców na ten projekt, wzięła się ostro do rzeczy i w bardzo krótkim czasie nauczyła się doskonale stenografować i pisać na maszynie. Ja sama pośredniczyłam wtenczas u właściciela fabryki i u dyrektora, bo wtedy niechętnie jeszcze zatrudniano w biurach siły żeńskie, zwłaszcza tak młode. Udało się jednak jakoś i Józia uzyskała przyjęcie.

Ojciec namyślał się długo, nim dał swe przyzwolenie, a gdy już miała iść do biura, nie szczędził jej rad i wskazówek:

„Uważaj bardzo na siebie, dziecinko! Bądź przedewszystkiem ostrożną z mężczyznami, nie przyjmuj żadnych choćby drobnych prezentów, nie daj się zapraszać. Każdy upominek pociąga za sobą zobowiązanie pewne, a porządna panienka powinna unikać wszelkich zobowiązań, zachować pełną swobodę postępowania."

Jako urzędniczka okazała się Józia wybitnie zdolną, pracowała dobrze i szybko, orientowała się we wszystkiem. Polubiono ją ogólnie, a że była i ładna i miła, więc koledzy zaczęli jej nadskakiwać w nadziei nawiązania interesującego flirciku, ale źle się z tem wybrali.

Tym, którzy próbowali pozyskać ją drobnemi prezencikami, odpowiadała Józia: „Dziękuję, nie przyjmuję zasadniczo żadnych prezentów" i zwracała podarunek nie spojrzawszy nań nawet.

Niektórzy próbowali znów innej drogi; przynosili bilety i zapraszali ją do teatru czy na koncert. Tym odpowiadała Józia: „bardzo to uprzejmie ze strony pana, ale nie mogę przyjąć. Jeśli kiedy będę chciała pójść, kupię sobie sama bilet. Podarunki zaślepiają, zobowiązują."

Próbowano wpłynąć na zmianę jej postanowienia i jeden z takich usłużnych gachów, gdy odmówiła mu jak zwykle, powiedział:

„Dlaczego pani jest taka zacofana, ma tak staroświeckie zasady?"

*) Wyszła nakładem i drukiem Księgarni i Drukarni Katolickiej, S. A. w Katowicach, ul. Marsz. Piłsudskiego 58

„Myli się pan. Właśnie jestem postępowa, bo mam odwagę postępować tak, jak uważam za słuszne. Nie chcę być nikomu zobowiązaną, chcę uniknąć zależności, zachować zupełną swobodę.“

„Patrzcie, patrzcie! Jaka pani draźliwa. Może pani chce w ten sposób zadokumentować, że jest czemś lepszem od nas, ale przecież Darwin udowodnił, że wszyscy pochodzimy od małpy...“

„Nikt tego jeszcze nie widział, żeby z małpy zrobił się człowiek, natomiast widzę często, że ludzie stają się małpami“ — odcięła się Józia.

Z czasem zrozumiano bezskuteczność tych zabiegów i pozostawiono ją w spokoju. Tylko jeden z panów, krewny nawet właściciela fabryki i może dufny w swe znaczenie, odważył się raz na poufałość i pogłaskał ją po twarzy. Oburzona Józia powiedziała umyślnie tak głośno, aby wszyscy słyszeli:

„Ręcznik wisi tam w kącie. Moja twarz nie jest na to, aby pan obcierał sobie w nią brudne palce...“

„A to osa jadowita;“ — mruknął niefortunny zalotnik i odszedł, jak zmyty. Ale nauka poskutkowała. Każdy zaczął odnosić się do niej z należnym respektem, nie ośmielano się już na żadne poufalsze zbliżenie. Mimo to lubiano ją, bo była i uczynna i wesoła, na żarty i dowcipy reagowała chętnie, o ile tylko ktoś nie przekraczał przytem należnych granic. Przy tem wszystkiem nie zapominała o robocie, stawała się w biurze coraz niezbędniejszą. Powierzano jej coraz trudniejsze prace, wymagające i zaufania i szybkiej orjentacji. Siłą rzeczy została wreszcie, sama nie wiedząc jak i kiedy, pierwszą sekretarką wicedyrektora, jego prawą ręką. Odpowiednio do tego podwyższono oczywiście jej pobory.

Pan szef, wicedyrektor Kleiner, zaczął interesować się coraz więcej swą sekretarką. Podobała mu się od dawna, ale zrazu nie analizował bliżej tego wrażenia. Na ogół nie miał zbyt wysokiego mniemania o dziewczętach, zwłaszcza pracujących samodzielnie; doświadczenia, jakie zebrał w swem dotychczasowem życiu, nie przemawiały zbytnio na ich korzyść. Ta jednak wyjątkowo zaczęła mu imponować. Poznawszy ją bliżej i widząc jej nienaganne zachowanie się w stosunku do płci brzydkiej, nabrał dla niej szacunku, a i sympatja jego dla niej stawała się coraz silniejsza. Gdy raz zachorowała lekko i nie przyszła do biura, brakowało mu jej ogromnie i zaraz następnego dnia wybrał się odwiedzić chorą i poznać przy tej sposobności jej rodziców. Wypytawszy ją o zdrowie rzekł serdecznie:

„Brak nam pani ogromnie, panno Józefinko; nie możemy sobie dać rady. Musi pani prędko wyzdrowieć.“

Dziewczyna uśmiechnęła się filuternie:

„E, taka tam ze mnie ważna figura. Już Bismark powiedział, że każdy człowiek da się zastąpić przez kogoś innego. Zresztą w biurze i tak nie będę wiecznie. Gdy mój brat się wyświęci, wtedy...“

„Chyba pani nie zechce pójść do niego za gospodynię. Na to nie pozwolimy.“

„Nie; na tę posadę czeka już nasza najmłodsza, Rezia. Ja na odmianę pójdę gdzie za niańkę do dzieci.“

„Czy to muszą być akurat obce dzieci?“ — zapytał dyrektor nie bez ukrytego celu, zajrzawszy jej głęboko w oczy. Dziewczyna zarumieniła się trochę, ale powiedziała odważnie:

„No, niekoniecznie. Ale kto tam wie, czy będę kiedy miała własne. Czy znajdzie się taki mężczyzna, jak ja to sobie wyobrażam, któremu mogłabym śmiało powierzyć mą przyszłość, którego mogłabym nietylko kochać, ale zarazem szanować i poważać... I czy taki właśnie zechce mnie...“

„Pani jest taka lubiana, że chyba może wybierać.“

„Ach ci, którzy mi teraz nadskakują, to w moich oczach nie mężczyźni. Ci nie pojmują życia ani miłości na serjo. Gotowi flirtować z każdą, w każdej kobiecie widzą łatwą zdobycz, za zaofiarowane pudełko czekoladek pozwalają sobie zaraz na bezczelne poufałości... Nie, za takich mężczyzn dziękuję.“

Kleiner wrócił do domu cały pod wrażeniem tej rozmowy. Pierwszy raz uświadomił sobie, jak bardzo polubił tę dziewczynę i że przecież pewnego pięknego dnia pierwszy lepszy może mu ją sprzątnie z przed nosa. Na samę myśl o takiej możliwości zaciskał pięści. Do tego nie można już dopuścić. Uznał naraz, że przecież szkoda, aby dziewczyna z takiemi zaletami, prawdziwy ideał na żonę, marnowała się tu w biurze. Właściwie nie było przeszkód. Miał ładnie urządzone mieszkanie, w którem niestety musiał siedzieć sam, zdany na łaskę starej posługaczki. Trudno było mu jednak zdobyć się na jakiś krok stanowczy, stał się nagle nieśmiałym wobec swej młodziutkiej sekretarki. Gdy po długiem wahaniu odważył się wreszcie raz wspomnieć jej coś o miłości, Józia nie zrozumiała w pierwszej chwili jego intencji. Oczy zaszły jej łzami, spojrzała na niego smutnie i z wyrzutem i zdołała tylko powiedzieć: „Ależ panie dyrektorze! Jak można...“

Kleiner umilkł, przestraszony, ale po namyśle uznał, że najlepiej wybrać starą wypróbowaną drogę, że na tej drodze najprędzej zdobędzie pewność i dojdzie do celu. Już nie wahał się dłużej. Tego samego dnia wybrał się do jej ojca i formalnie poprosił o jej rękę. Naczelnik stacji zdumiony był również w pierwszej chwili, gdyż nie myślał o takiem szczęściu dla swej córki. Stanowisko Kleinera i jego solidny charakter dawały wszelkie gwarancje i lepszego konkurenta trudno było sobie życzyć. Oczywiście ostateczną zgodę uczynił zależną od decyzji swej córki. — Okazało się jednak, że panna Józia już od dawna sprzyjała skrycie swemu szefowi ale nie przypuszczała nawet, że może on mieć poważne zamiary. Dlatego tak jej było dziś przykro, gdy zaczął mówić o miłości; myślała, że zawiodła się na nim, że nie jest lepszym od innych, którzy chcieli z nią flirtować. Na szczęście nieporozumienie nie trwało długo i gdy ojciec powtórzył jej oświadczyny Kleinera, z radością zgodziła się na wszystko. Była przekonana, że znajdzie w nim takiego męża, jakiego pragnęła, i o jakim mówiła z nim niedawno.

Józia postanowiła pracować mimo to dalej w biurze aż do chwili wyświęcenia brata. Ojciec nie bardzo był za takiem ciągłem przebywaniem w biurze razem z narzeczonym, ale wreszcie ustąpił, powiedział jej tylko:

„Bądź bardzo uważną, córeczko, teraz więcej nawet, niż dotychczas. Pozostań taką, abyś każdej chwili mogła mnie i matce spojrzeć w oczy, nie potrzebując się wstydzić. Jakiś tam niewinny całus czasem, to ostatecznie nic złego, ale i tem nie trzeba szafować zbytnio. Wychowałaś się nam jak lilijka, więc pozostań taką i nie daj się zbrudzić. Nawet na drobne ustępstwa lepiej nie pozwalać przed ślubem. Niech zawsze będzie dla ciebie z pełnym szacunkiem, tem silniej będzie cię potem kochał.“

Raz jeden tylko w tym okresie narzeczeństwa Kleiner zapomniał się trochę, dał się unieść chwilowej namiętności, był trochę zanadto natarczywy. Energiczna Józia postawiła jednak z miejsca kwestję stanowczo.

„Mój drogi! Wiesz, że cię kocham, ale nie dałam ci chyba powodu do takiego zachowania się wobec mnie. Za co mnie masz? Widocznie zapomniałeś, że

jestem dopiero twą narzeczoną. Jeśli nie przeprosisz mnie do jutra za to niewłaściwe postąpienie, kwita z naszej przyjaźni. A teraz bądź zdrów!" I poszła zaraz do domu, nie czekając na zakończenie godzin biurowych.

Skonfundowany narzeczony pozostał sam, ale na drugi dzień, w niedzielę, już o ósmej rano był przed mieszkaniem narzeczonej, niepewny, czy już może wejść, aby uzyskać przebaczenie z jej pięknych ustek. Postępku swego żałował już wczoraj. Miał zbyt wielkie poczucie sprawiedliwości, aby nie przyznać, że postąpił źle; a sposób, w jaki zareagowała na to Józia, uczynił mu ją jeszcze milszą i droższą.

Dowiedziałam się całej historji tego narzeczeństwa w rok po ich ślubie, gdy wezwano mnie do pierwszego porodu. Dyrektor sam opowiedział mi wszystko, gdyśmy wspólnie czuwali przy łóżku młodej żony, oczekując rozwiązania. Na zakończenie powiedział do mnie:

„Gdyby wszystkie dziewczęta były takie, jaką była wówczas moja Józefinka, nie byłoby prawie nieszczęśliwych małżeństw. Proszę mi wierzyć, że to jest najdraźliwszy punkt, o którym jednak zapomina się przy tworzeniu różnych projektów na temat reformy małżeństwa, mianowicie zachowanie czystości do dnia ślubu. Gdyby ludzie zrozumieli to i trzymali się tego, trudny ten problem byłby już rozwiązany i wszelkie reformy byłyby zbyteczne."

Tak to moja pupilka umiała zapewnić sobie szczęście w małżeństwie. Wybrała dobrze, nauczyła męża od początku, odnosić się do niej z pełnym szacunkiem. Weszła w małżeństwo bez cienia skazy i harmonji ich pożycia nie zdoła teraz nic zakłócić.

Rady praktyczne

Zaprawianie owoców.

Dzisiaj, w czasach wyrabiania wszystkiego w jaknajwiększej ilości po wytwórniach wszelakich, zdawałoby się może, iż nikt już zapewne nie zajmie się tą i ową robotą, niegdyś wyłącznie w domu wzgl. w jadłodajniach wykonywaną, np. zaprawianiem owoców. Tymczasem żywy udział uczestniczek kursów dotyczących, zwłaszcza w szkołach gospodarstwa domowego, świadczy, że wyroby wytwórń niezupełnem cieszą się uznaniem.

Bo też istotnie nawet niekiedy trudno uznać je za pełnowartościowe. Ot np. sok malinowy; mało tam soku i mało cukru, a trzeba koniecznie uwzględnić, że malina jest czerwona, a nie różowa; cóż robi tedy wytwórca soku? Ot poprostu — „za zezwoleniem władz" — dolewa do tej „wodzianki" różowej — cokolwiek soku wiśniowego, dodaje skromniutką wzmianeczkę o tem (ustawami nakazaną) na przylepce i — odbiorca, nie czytając nic poza napisem „Sok malinowy", podziwia świetnie ciemną czerwień soku, dziwiąc się tylko trochę — o ile ma węch —, że ta malina zalatuje jakoś wiśnią.

I zdaje się, że tak jest ze wszystkiemi zaprawami z wytwórń wszelakich: wszystko sztucznie dociągane co do wyglądu, a odciągane co do treści: farbuje się niemal wszystko, niezawsze przepisowo tj. farbami nieszkodliwemi,za to jakość owocu zaprawionego nie zawsze jest wyborowa, a cukru brak najczęściej dość dużo; o ile chodzi o rzeczy kiszone, napewno zazwyczaj będą doprawione octem, i to nie spirytusowym lub winnym, lecz zwykłym, (tj. mieszaniną wody z esencją), którego „dobroć" poznano już chyba zewsząd

Gmina buduje swój dom ludowy, ze składek drobnych i większych, z przedstawień i odczytów, cegiełka do cegiełki i można było pomyśleć o domu ludowym. Ksiądz Paweł musi teraz, co dnia, bodaj na chwilę na budowę wpaść, popatrzeć ile przybyło, pośmiać się, pogwarzyć, po izbach przejść, przecież to jego marzenie staje się kształtem widomym, przecież to jego trud owoc zrodził, ku niebu rośnie czerwienią świeżych cegieł.

Oto już okna zakładają, ściany malują, dach pobijają dachówką, piece stawiają, heblują podłogi a wkońcu przyszedł dzień, że wszystko już było jasne, czyste, obszerne, gościnne i biały dom skąpany w słońcu otworzy zimą wierzeje, by skupić w sobie na długie wieczory życie całej wsi.

Jedna izba dla gospodarzy starszych, są gazety, szachy, domino, będzie i herbata z cytryną dla tych, co już czemś koniecznie gardła płukać muszą. Dwie izby dla młodzieży, mała salka ze sceną, salka wykładowa, na górze pokój gościnny dla przejezdnych, co zanocować gdzie nie mają. A na dole spółdzielnia i wyrób masła, na wspólnie przez gminę zakupionej wirówce szweckiej.

O, jaki ksiądz Paweł jest szczęśliwy!

Nadszedł dzień poświęcenia.

— Wie mama, to pewno ta panna, co mu zawsze róże posyłała.

— Może i ta. Niech mu ta Pan Jezus da jaknajwięcej słonka, bo ja mu go w dzieciństwie dać nie mogłam, jeno ten suchy ale uczciwie zdobyty chleb.

A dziewczynie nagle nasunęło się porównanie, do kolan matki przytuliła płonącą twarzyczkę.

— O mamo, takiej drugiej jak ty, może na świecie niema.

— Bajesz dziecko... bajesz...

Ciemną, żylastą ręką pieściła ciemną główkę przytuloną do swoich kolan a oczy jej nagle spochmurniały troską:

— Żeby jeszcze ciebie jako zaopatrzyć, ciebie jeszcze szczęśliwą zobaczyć, dziecino...

Minęły dwa lata, ksiądz proboszcz z Rozdołów wystawił sobie domek na Słonecznej polanie a ksiądz Paweł Żmuda za staraniem swojego przełożonego i całej parafji, proboszczem został w Rozdołach.

Zaraz też, gdy tylko dawny proboszcz wprowadził się do swego zacisznego kącika, Paweł Żmuda pojechał po Maryjkę i matkę. Nie prowadziły już stróżostwa ale mieszkały jeszcze w tej samej suterynie, bo mieszkania znaleźć nie było można. Tadek posyłał regularnie pieniądze i Paweł także, ale one bez

dostatecznie: drętki a nie kwaśny, a wkońcu słaby, gorzkawy i jakoby cuchnący. Widząc też jeszcze, że tylko owoc najwrażliwszy wytwórnie nakładaja w słoiki szklane, a pozatem niejedno dostarczaja w puszkach blaszanych, nibyć pocynowanych, ale bardzo cieńko, a bądź co bądź metalowych, nie zdziwimy się, że „masowy wyrób fabryczny" ani nie wygląda ani nie smakuje należycie. Więcej zaufania tedy możemy mieć do wyrobów naszych „świeżo upieczonych" i przyszłych gospoś, słuchaczek szkół czy kursów prac kobiecych.

Tymczasem przyjrzyjmy się robotom dzisiejszych pań w tej dziedzinie. Chwalić im trzeba używanie wagi, ścisłe przestrzeganie przepisów itd., ale trudno pojąć ich ślepą wiarę w przyrząd Wecka, z którym mają tyle żmudy, straty i innych smutnych doświadczeń, a który ostatecznie, w myśl dzisiejszej nauki o witaminach, czyni z owoców zaprawionych wraz z dodatkiem cukru jedynie jakiś przysmak dla języka i podniebienia, ale pozbawia je wszelakich innych właściwości, przedewszystkiem odżywczych. Trudno mi osądzić, ile prawdy zawiera nauka o witaminach w surowiźnie a zupełnej bezużyteczności potraw zbyt długo gotowanych lub odgrzewanych, ale wiem tyle z doświadczenia, że zaprawy z „Wecka" nigdy mi tak nie smakują, jak przyrządzone na sposób staroświecki. I dodam zaraz, że używanie do zapraw kwasu salicylowego, czy to przez posypywanie nim rzeczy zaprawionych, czy też przez zawiązywanie słoików „pergaminem salicylowym" uważam za bezcelowe. Kwas salicylowy bowiem jest bardzo słaby, tak, iż mniejsza ilość jego bodaj zapobiega tworzeniu się pleśni, tem mniej psuciu się zawartości słoika. W większych zaś ilościach wpływałby ujemnie nietylko na wygląd, ale i na smak jej, zwlaszcza w zetknięciu z żelazem. Obłożyć np. tak doprawioną zaprawką jakiś przekładaniec lub kołacz, a potem krajać go nożem zwykłym, wtedy ma się na stali naraz żyłki, zaś od dotkniętych nią owoców — smak wręcz wstrętny. Zatem ostrożnie z „salicylem", a najlepiej nie używać go wcale. A co za cel ma wogóle zawiązywanie słoi „pergaminem salicylowym", trudno mi dotąd zgłębić.

Jakże więc zapobiedz psuciu się owoców, ich pleśnieniu w słoju itd.? Ot poprostu zwiększonym dodatkiem cukru, wzgl. octu, z tem, że owoc był starannie wybrany i przygotowany do zaprawy.

Znam nieco różne sposoby; pamiętam również niejedno z przed laty zgórą 50, kiedy to ś. p. matka moja przyrządzała nam różne łakocie podług przepisów swojej babki i prababki; a wiadomo, że panie z owego wieku chlubiły się posiadaniem „recept" jaknajstarszych; ale o tem w numerze następnym. **S. K-l.**

Różne.

Przeciw monopolowi wychowania przez państwo.

Odbywający się w Nowym Jorku kongres katolickiego związku szkolnego uchwalił między innemi złożenie Stolicy Apostolskiej oświadczenia, w którem w sposób stanowczy podkreśla się przyrodzone prawa rodziny i Kościoła do wychowania młodzieży i protestuje przeciw „wszelkim formom absolutyzmu i autokracji" dążącym do zmniejszenia tych praw. Państwowy monopol na wychowanie jest pogwałceniem tych praw, a zatem przeciwny zasadom chrześcijańskim.

pracy nie rozumiały życia i Wawrzonowa prała teraz bieliznę do najbliższego kościoła, a Maryjka wyszywała i robiła rozmaite robótki. Pieniądze odkładały na ciężką chwilę, no i przydały się teraz nowemu proboszczowi na zagospodarowanie, było za co dom urządzić.

Ciężko się było matce rozstać z suteryną, w której bezmała całe życie spędziła a trudniej jeszcze z onym grobem mężowskim, na którym teraz lśnił krzyż kamienny, kosztem Tadeusza Żmudy postawiony. Ale trzeba to trzeba.

Paweł tak serdecznie prosił a zresztą tu czuła, że nie będzie zawadą, jeno pomocą.

I zdawało się im, jakgdyby wyszły na jakiś inny świat.

Nie mogła się Żmudzina nacieszyć gospodarką, słońcem, wsią, krowiną w stajni, a najwięcej to tym oknom dużym, wesołym, przez które zaraz z rana zaglądało słońce i śmiały się do niej jabłonki owocem ciężarne.

Ej, Boże...

I wspominała tamto okno małe w górze umieszczone, przez które czasem wślizgiwał się promień słońca zachodniego i zaraz uciekał, jakgdyby zawstydzony, przez które jeno ludzkie nogi się widziało, wiecznie w dal dążące.

A tu...

Jakby się człowiek za żywota do raju dostał!

I rozradowane jej oczy błogosławiącej, macierzystej tkliwości pełne szły za rosłą postacią księdza Pawła, co się jej zawsze tak kornie, po dziecięcemu do ręki spracowanej chylił na powitanie.

Maryjka, po kilku miesiącach pobytu na wsi, zmieniła się do niepoznania; smutna, blada dziewczynka rozkwitła, jak róża w słonku.

Pomagała matce w gospodarstwie, bratu w stowarzyszeniu, przybierała kościół w lecie polnemi, zimą sztucznemi kwiatami, odnalazła nagle radość życia, czynna, jak brat od rana do nocy, pogodną się stała i wesołą.

Była jak to kwiecie, co nagle z zimnej, wilgotnej piwnicy na grządkę wysadzą pełną światła i odczuje w sobie dech życia...

I wtedy to oczy Janka Waligóry, najbogatszego chłopaka we wsi i sekretarza w stowarzyszeniu zaczęły iść za nią, dobre, wierne, rozmiłowane, nieśmiałe a proszące.

A Maryjce nie zwidywała się już w snach twarz Kaźka blada o oczach pełnych ogni, jeno te pogodne, błękitne oczy i ta młoda, smagła, sucha twarz górala.

I znowu dwa lata.